

SPOJRZENIE

Nic nie powróci. Oto czasy
już zapomniane; tylko w lustrach
zsiada się ciemność w moje własne
odbicia — jakże zła i pusta.

O znam, na pamięć znam i nie chcę
powtórzyć, naprzód znać nie mogę
moich postaci. Tak umieram
z pół-objawionym w ustach Bogiem.

I teraz znów siedzimy kołem,
i planet dudni deszcz — o mury,
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas — to jestem ja,
którym pokochał. Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo jestem — prosty.

A drugi z nas — to jestem ja,
którym nienawiść drżącą począł,
i nóż mi błyska, to nie łza,
z drętwych jak woda oczu.

A trzeci z nas — to jestem ja
odbity w wypłakanych łzach,
i ból mój jest jak wielka ciemność.

I czwarty ten, którego znam
który nauczę znów pokory
te moje czasy nadaremne
i serce moje bardzo chore
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

WIGILIA

I zbudzili go nagle. Był to głos z daleka.
Umarłego lat tyle któż to zbudził z Boga
jak ze snu, by jak kropla ciężył znów ku ziemi
i cierpieniem, co myślą żywego człowieka,
jak ciałem okrył i sprowadził w dół?

Już opadał. Mgła nisko. Obłok śniegu w dole.
Od światła oderwany, w czarnoksiężskim kole,
w kole głosu wirował, aż usłyszał z bliska,
aż go nazwała po imieniu. Śliska
ulica w śniegu nikła. Grajek zginał piłę
i cienki głos przeszywał i oddalał czas —
jak w tamten wieczór śmierci. Już był u tych okien.
Stół biały, wigilijny, posypany mrokiem
i ona tam samotna. Płomień śniegu gasł
od chłodu, który przyniósł, i powiew westchnienia
zatrzepotał, i stanął znów u jej ramienia
jak w tamten wieczór śmierci. „Mój miły — mówiła —
oto samotność moja, łzy i tych łez siła,
co cię do mnie prowadzi”. Pytał ciężko: „Co,
co mi każe powracać w ołowiane dno,
na samo dno milczenia, na ziemię, w popioły?”
„O miły, ukochany — mówiła; wspomniała: —
Ty duch, ty nie pamiętasz o cierpieniu ciała.
już nie ma naszych synów. Krew ich wsiąka w śnieg.
Możesz widział ty serca ich na ulic bruku,
możesz widział schodzących na umarły brzeg,
a może roztrzaskaną matki siwą głowę?
Dzisiaj przyszła godzina, zabierz serce moje,
obroń mnie, od dotknięcia ich jakieś mnie bron!”.

Pokój spełniał się świtem. Na ulicy dzwonił
dzwonek u małych sanek. Ciemni, trzej, schyleni,
długo szukali w szafie. Jeden złożył dłoń
na jej ramieniu sztywnym. Wtedy się ukosem
obsunęła powoli; brzask jej zwilżył włosy
i strumyk chłodnej ciszy popłynął przez skroń.
Zamilkli. Ona była z nim, daleko, chyba
dalej niż każda miłość. Ostry szron na szybach
skrzył się. Ruszyli z wolna, lęk ich biały zmroził
i czarny krzyż ze ściany jak milczenie — groził.
Było wysoko, cicho jak w kościele.

ŚMIERĆ

Ach, nie płacz, nie płacz,
to jest takie nic, smutne ucichanie,
a właściwie to jest cisza pierwsza i jedyna...
usychające kwiaty nad mdlącym posłaniem...
i właściwie nic...
i pusta głębia...
nocą cichy las beczuciowych istnień,
wyblakłe jaźnie trwające bezdrganiem.
A właściwie to jest tylko wielkie zakończenie
nieskończonym snów...
nieznane cierpienie...
Ach, nie płacz, nie płacz...
Już cię nie rozumiem...